

Do ostatniej kropli

Monika Żółkoś

Teatr Wybrzeże w Gdańsku

„Zwodnica”

Thomasa Middletona
i Williama Rowleya

tlum. Krystyna Berwińska

oprac. tekstu Kuba Kowalski

Jakub Roszkowski,

reż. Kuba Kowalski

scenogr. Katarzyna Stochalska

reż. światła Damian Pawella

premiera 6 marca 2009

stych, zdecydowanych odpowiedzi. Wejść do teatru z gruntownie przemyślaną interpretacją. Zero. Jeden. Być albo nie być. Z najmniejszej możliwej w informatyce jednostki danych – bitowego zero lub jeden – można wykreować wszystko. Cały świat za pomocą zer i jedynek”.

O tym kuriozalnym manifeście nawet nie warto by pisać, gdyby nie jeden znaczący fakt. Otóż spektakle wystawione na Scenie Malarnia, sztandarowe projekty „zero-jedynkowe”, kompletnie mijają się z informatyczną formułą. Są „rozwarstwione”, jak ognia unikają jednoznaczności, a jednocześnie wyrastają z przejmująco współczesnego odczytania klasyki (czego bynajmniej nie zawdzięczają myśleniu kategorią „zero-jeden”). W przeciwieństwie do manifestu „Poskromienie złoŹnicy” Szymona Kaczmarka i „Zwodnica” Kuby Kowalskiego to wiarygodne wypowiedzi artystyczne. Pocięszające, że dobry teatr jest w stanie nieszkodliwiec najgłupszą nawet formułę.

Kuba Kowalski sięgnął po mało znany, choć kilka razy grany już na polskich scenach siedemnastowieczny dramat autorstwa Thomasa Middletona i Williama Rowleya. Młoda dziewczyna, Beatrice, na kilka dni przed swoim ślubem zakochuje się w innym mężczyźnie. Jedynym sposobem wypłatania się z narzeczęŹskich obietnic jest morderstwo, które kobieta zleca szaleńczo w niej zakochanemu De Floresowi, uniżonemu słuździe jej ojca. Zaplątą staje się dziewictwo Beatrice.

Jeden fałszywy krok pociąga za sobą kolejne: po ślubie z ukochanym Alsemerem, bohaterka namawia Diafantę, swoją przyjaciółkę i słuźkę, by ta pierwszej nocy zamiast niej dzieliła z nim małżeńskie łóże. Jednak dziewczyna nie dotrzymuje umowy, zgodnie z którą zaraz po stracie dziewictwa ma się wymknąć z sypialni. Zrozpaczona Beatrice przyjmuje raz jeszcze

pomoc De Floresa, który oferuje się podstępnie wywabić i zabić Diafantę, co też bez skrupułów czyni. W finale dramatu Beatrice sama staje się ofiarą swojej destrukcyjnej namiętności – zostaje zdemaskowana, a następnie napiętnowana jako morderczyni i dziwka.

Kuba Kowalski wyekspozował ten właśnie wątek dramatu, zrezygnował natomiast z komediowych scen w szpitalu psychiatrycznym, które pokazują fałszywych pensjonariuszy (tylko tym sposobem zalotnicy Izabeli mogą dotrzeć do pięknej pani doktorowej, zazdrośnie trzymanej przez męża w domu). Spektakl nie wykorzystuje komediowego kontrpunktu, w ten sposób zniża napięcie między żartobliwym obrazem namiętności a jej mroczną, zbrodniczą postacią. Pierwsze sceny pokazujące Beatrice (Karolina Piechota) i Diafantę (Wanda Skorny) w panięŹskim pokoju i zakochanie

Kowalski wydobywa ze „Zwodnicy”
portret kobiety skleiony
z cudzych wyobrażeń.

Beatrice Karoliny Piechoty
próbuje wyglądać z za tego obrazu,
szuka odrobiny wolności,
ale kończy się to podwójną zbrodnią.

się bohaterki w Alsemerze (Marek Tynda) utrzymane są w lekkiej tonacji. Mroczna aura narasta powoli, ale robi wrażenie nieuchronnej. Skupienie się na Beatrice pozwala zbudować sytuację psychologicznego zamknięcia, niemożności zatrzymania raz wprawionego w ruch koła zbrodni.

To wrażenie wzmacnia obecność postaci wyprowadzonych z wyeliminowanego wątku, Izabeli (Marzena Nieczuja-Urbańska) i Lolia (Krystian Wieczorek), którzy pozbawieni zostali swojej historii i wrzuceni

W mijającym sezonie Teatrowi Wybrzeże patronują egzotycznie brzmiące hasła. Obecny rok teatralny nosi nazwę „Władcy marionetek”, wiodący projekt artystyczny to „Wyspa pełna krzyków”, a realizowane w jego ramach przedstawienia określono mianem „zero-jedynkowych”. Brzmi to jak eksperymentalny marketing, ale, niestety, w intencji twórców ma być czymś dużo więcej niż tylko haczykiem na widza. Koncept ten przedstawia się jako śmiały artystycznie i mający zrewolucjonizować sposób wystawiania klasyki. Jak można przeczytać na stronie Teatru Wybrzeże, „źródłem tej nazwy jest współcześnie przetworzony najważniejszy cytat teatralny – Szekspirowskie »być albo nie być«. Szekspir połączony z językiem informatycznym dwudziestego pierwszego wieku. [...] Młodzi reżyserzy tworzący spektakle zero-jedynkowe mają za zadanie rozłożyć na czynniki pierwsze dramat, nad którym pracują. Zadać sobie miliony pytań. I stworzyć na nie gigabajty pro-



w zupełnie nową rolę. Funkcjonują niejako obok wydarzeń dramatu. Są nie tyle reżyserami, co strażnikami teatralnej gry: pilnują bohaterów, niekiedy wskazują im miejsca, pomagają ubierać się dziewczętom, czuwają nad tym, żeby wszystko przebiegało według scenariusza. Dekadencki wygląd i przemieszanie atrybutów płci (Lollio jest perwersyjnie kobiecy, Izabela nosi się jak mężczyzna) powodują, że przypominają konferansjerów z jakiejś knajpy. To właśnie oni rozpoczynają spektakl, anonują go powoli, niespiesznie, od niechcenia flirtują z publicznością, budują nastrój podrzędного lokalu. Ich obecność jest czytelnym znakiem, że w życiu Beatrice nic nie zależy od niej. Wszystko jest już przesądzone, pozostaje jej tylko wypełnić swój los. Reżyser umiejętnie buduje napięcie między poważnym, pełnym przejścia ukazaniem wydarzeń „Zwodnicy” a grą z konwencją, chwilowym zawieszaniem dramatu – jak w scenie, w której panna młoda śpiewa rozmaite przeboje weselne z coraz bardziej rozpaczliwą nadzieją, że w końcu trafi w gust kapryśnego małżonka.

Gdańska inscenizacja jest opowieścią o kobiecie, która nie może o sobie decydować. Najważniejszym problemem, który podejmuje Kowalski, jest właśnie zawłaszczenie przez kulturowe stereotypy, presja otoczenia wymuszająca na Beatrice i Diafancie to, co dziewczynie przystoi, a zarazem czyni z niej obiekt pragnienia. Bohaterki są przyuczane do społecznej roli, przykrawane do męskich oczekiwań – ale od początku, mimo braku jednoznacznego sprzeciwu czy

buntu, jakoś się w nich nie mieszczą, wypełniają je w sposób przewrotny. Między dialogi siedemnastowiecznego dramatu wpleciono sceny oparte na pismach dla nastolatki. Cytowane są z nich porady, jak wyglądać i zachowywać się, żeby poderwać chłopaka, a także kącik osobistych zwierzeń, skąd zaczerpnięte zostało wyznanie bulimiczki, liczącej każdy kęs, okruszek, kalorie (przezabawny epizod Wandy Skorny).

Karkołomny pomysł zderzenia tak różnych tekstów broni się zdumiewająco dobrze. Po pierwsze, nie jest nachalnie eksploatowany, reżyser wykorzystuje go w kilku zaledwie sekwencjach, po drugie – i najważniejsze – współbrzmi z interpretacją Kowalskiego, który wydobywa ze „Zwodnicy” portret kobiety sklejony z cudzych wyobrażeń. Beatrice Karoliny Piechoty próbuje wyglądać zza tego obrazu, szuka odrobiny wolności, ale kończy się to podwójną zbrodnią.

Aktorka pokazuje proces „wykluwania się” z dzieciństwa. W pierwszej scenie ćwiczy baletowe kroki, które są już wstępnymi wprawkami w kobiecość. W kłapkach, po dziecięcemu niezgrabna, gramoli się, odsłaniając opiętą getrami pupę. Na każdym etapie towarzyszą jej różne przedmioty, które tworzą najpierw wizerunek podlotka, a potem roznamiętnionej kobiety. Te rzeczy pełnią istotną rolę, są one bowiem atrybutami płci, które narzucają tożsamość – buty na wysokim obcasie, lalka, lusterko, koronkowe rękawiczki.

Karolina Piechota kreuje swoją postać naprawdę przekonująco. Obdarzając ją nie-

codzienną intensywnością emocji, ani razu nie popada w przesadę czy siermiężność. Morderstwa, nawet jeśli zlecane w rozpaczy, są czymś więcej niż rezultatem afektu. Beatrice sankcjonuje je mocą wewnętrznej decyzji. Do samego końca jest w bohaterce jakaś zdumiewająca siła i determinacja, przez które bardzo długo nie będzie mogła przebić się świadomość, że wszystko się wydało, że przegrała. Siedzi wówczas oniemiała wśród rozsypanych kosmetyków i innych babskich drobiazgów, patrzy dookoła trzeźwiejącym wzrokiem, jakby dopiero przed chwilą się obudziła.

Jest w tej scenie jeden słaby punkt, który jednak nie mąci wrażenia bardzo dobrego spektaklu. Beatrice wygrzebuje lusterko, a następnie z niemym wyrzutem kieruje je w stronę publiczności, każąc widzowi przejrzeć się w scenicznym świetle. Ten chwyt wydał mi się zbyt prosty, za bardzo jednoznaczny i, co tu dużo mówić, nieco chyba wyświechtany. Kuba Kowalski pokazał jednak umiejętność budowania mocnych, nośnych, mniej oczywistych obrazów scenicznych – przykładem może być scena mechanicznego marszu Diafanty do sypialni Alsemera. Ubrana w czarne pończochy i welon panny młodej wydaje się uwięziona w podwójnym stereotypie: staje się jednocześnie symbolem niewinności i wyuzdania.

Osaczenie Beatrice potęguje De Flores, z którym dziewczyna dzieli zbrodnię, tajemnicę i łóżko (mimo że mężczyzna wzbu-

1 | Scena zbiorowa; fot. materiały promocyjne Teatru Wybrzeże w Gdańsku

dza w niej obrzydzenie, które sączy się nawet ze słów podziękowania). Reżyser kreuje go na toksycznego, zamkniętego w sobie człowieczka z goryczą tłumiącego pożądanie. Z trudem zdobywa się na odwagę, by do „wspólniczki” w ogóle przemówić. Jest oblesny, skryty, skapcianały, ale jednocześnie jakby przyczajony, pozbawiony wszelkich hamulców. W miarę jak kobieta jest coraz bardziej od niego zależna, jego postać nabiera siły i staje się perfidniejsza. De Flores smakuje upokorzenie Beatrice jak największą rozkosz. „Wypiłem wszystko. Ani jednej kropli nie zostawiłem innemu mężczyźnie” – mówi zachłannie i lubieżnie.

Michał Kowalski jest w tej roli świetny. Buduje ją ryzykownie, używa bowiem głównie skrajnych emocji. Scena, w której ściąga

zamordowanemu Alonzo pierścień, wydaje się wręcz mistrzowska. Wyczerpany po walce, mimochodem muska dłoń trupa. Jakby od niechcienia ślini palec, próbuje delikatnie, niezauważalnie zsunąć kosztowność. Pierścień nie puszcza. De Flores wkłada w to trochę więcej siły, wciąż jednak jest dyskretny, lekko wycofany. Po chwili próbuje mocniej. Wściekle szarpie ramię martwego Alonza. Wreszcie kierowany zwierzęcym impulsem chwyta zębami dłoń, odgryza trupowi palec. De Flores jest obłąkańczo zakochany, a jednocześnie fetyszyzuje obiekt swojego uczucia. W finale z jego urzędniczej aktówki sypią się na podłogę wykradane i troskliwie gromadzone skarby: zużyta chusteczka, pończoszka, lusterko... W tej teczuszcze jest jego Beatrice.

Cenię takie podejście do klasyki, jakie pokazał Kuba Kowalski. „Zwodnica” nie została przygnieciona przez nowoczesne instrumentarium, okazała się utworem, w którym tętnią niezwykle intensywne, a przy tym wiarygodne emocje. Dramat nie jest tu pretekstem, lecz znajduje się w centrum teatralnego spotkania. Scenicznej lekturze reżysera sprzyjała powściągliwa, umowna, ale świetnie ograżana przez aktorów scenografia Katarzyny Stochalskiej. Jednym słowem: pełen sukces. Żeby jeszcze zdjąć „zero-jedynkowy” szyld... ■

Monika Żółkoś – doktor Uniwersytetu Gdańskiego, laureatka Konkursu im. Andrzeja Wanata (1998). Autorka książki „Ciało mówiące. »Iwona, księżniczka Burgunda« Witolda Gombrowicza” (2002).